

# Wybory

Winstonowi Churchillowi przypisuje się powiedzenie, że demokracja nie jest co prawda idealnym ustrojem, ale dotąd nie wynaleziono lepszego. Churchill wiedział, co mówi. Był niewątpliwie premierem, którego zasługi w budowie koalicji antyhitlerowskiej są nie do podważenia, Brytyjczyków uchronił przed nazistowską okupacją, ale kiedy zwycięstwo aliantów było już przesądzone, przed wyborami obiecał swemu narodowi jedynie „krew, pot i łzy”. I wybory w 1945 roku sromotnie przegrał.

Od 1981 roku szkolnictwu wyższemu w Polsce przywrócono demokratyczne wybory władz akademickich. Czy rzeczywiście demokratyczne? Niezupełnie. Społeczność akademicka to nie tylko pracownicy naukowo-dydaktyczni, ale także inżynierijno-techniczni, służby bibliotecznej, administracji i obsługi. Oczywiście, że nie ma tej społeczności bez studentów. Ustawa o szkolnictwie wyższym stanowi, że wybory są pośrednie. Udział poszczególnych grup pracowniczych w gremiach wybierających organy uczelni (senat lub – jak chce nasz statut – kolegium elektorów) nie wynika z prostej proporcjonalności do stanu ich zatrudnienia. Statut Uniwersytetu przewiduje, że kolegium elektorów składa się z: profesorów i doktorów habilitowanych (50-55 proc.), pozostałych nauczycieli akademickich (20-25 proc.), studentów

(15-20 proc.) i pracowników nie będących nauczycielami akademickimi (5-10 proc.), zaś regulamin wyborczy przekłada to na liczby – odpowiednio: 79 – 32 – 24 – 10. Tak więc członków kolegium elektorów będzie 145.

O ile dominacja profesorska w kolegiach elektorów ma swe oczywiste uzasadnienie, to wątpliwości może budzić tak duży udział studentów. Do kolegiów zwykle wybierani są studenci starszych lat, tak więc ich związek z uczelnią potrwa rok, góra dwa. A w kolegium zasiadają też nienauczyciele, przeważnie legitymujący się dużym stażem, daleko większymi związkami emocjonalnymi z uczelnią. Powie ktoś, że są zbyt nisko ulokowani w uczelnianej hierarchii, by mogło ich to obchodzić. Nieprawda, bo od rektora zależy obsada wyższych stanowisk w administracji, a to, pod jakim szefem się pracuje, nie jest już obojętne. Ale ta dysproporcja najgorzej uderza w adiunktów, którym kształt uniwersytetu i jego przyszłość najbardziej leży na sercu, bo to oni będą, wkrótce lub trochę później, następcami kasty profesorskiej.

Nie tylko demokracja potrafi być przewrotna (Polacy coś niecoś o tym wiedzą po 12-letnich jej rządach). Kapryśne jest też jej dziecię – kadencyjność. A została ona ustanowiona, by wszelkiej maści rządy nie prowadziły do dyktatury i tyranii. Wiem, wiem – w światku akademickim brzmi to nieco głu-

pawo, a co najmniej nieprawdopodobnie. Ale skoro kandydata, po upływie dwóch możliwych kadencji, nadal kochają wyborcy i twierdzą, że byłby lepszy od każdego z nowo ubiegających się aspirantów? Nie ma wyjścia – może startować dopiero w następnej kadencji. Jakby nie patrzeć – kadencyjność niesie możliwość dopływu świeżej krwi, innego spojrzenia na uniwersytecką jakość i rozwój.

Wybór rektora może dokonać się zgodnie z wolą wyborców, ale niekoniecznie. Myślę o takiej sytuacji, kiedy startuje wielu kandydatów, następuje duży rozrzut głosów, a w kolejnych głosowaniach nie zwycięża faworyt (faworyci), a *czarny koń*.

Zezowata może być też motywacja głosujących. Byłem już świadkiem wyborów, gdzie stawali dwaj kandydaci – jeden mocno i długo związany ze środowiskiem, drugi – zaledwie po roku pracy. Wygrał ten pierwszy, ale mało brakowało, by ten nieznanym wyszedł z wyborów zwycięsko. Dlaczego? Bo jeszcze nie zdążył się nikomu narazić. Sam kandydat, nawet już wybrany, nie może być pewien intencji głosujących. Podobno elektem zostaje się nie tylko w uznaniu kwalifikacji, talentu organizacyjnego czy innych walorów osobistych, ale także z braku ...kwalifikacji, talentu organizacyjnego czy innych walorów osobistych. Bo gdy się ma na wydziale toksyczną osobowość, to warto ją „wykopać” wyżej.

Niemal każde wybory są festiwalem populizmu. Obiecać można niemal wszystko, nieważne czy zobowiązania są możliwe do realizacji. Obietnice wyborcy chętnie kupują. I myślę, że bez znaczenia jest tu poziom wykształcenia czy wyrobienia społecznego audytorium wyborczego. Świat słodkiej iluzji jest piękny dla wszystkich.

Polski system zarządzania uczelnią, inaczej niż zachodni, prezydencko-kanclerski, nie przewiduje rozdziału obszaru administracji akademickiej od zarządzania uniwersytetem. U nas w Polsce przyjęło się, że profesor nie jest wyłącznie specjalistą wyodrębnionej dyscypliny akademickiej, a reprezentuje mądrość uniwersalną, w każdej dziedzinie teorii i praktyki. Jeśli tak, to dlaczego, już w wolnej Polsce, najbardziej skompromitowały się rządy „profesorskie”, gabinety, gdzie co drugi minister był nosicielem wysokiej godności akademickiej? Tak czy inaczej, nawet w kabarecie profesor awansował, zastępując wysłużonego docenta, postać pocziwą, acz niezbyt rozgarniętą.

